№ 10—12 (B) Dnia 25 Grudnia 1929 r. Rok V.

Piński Przegląd Diecezjalny

DZIAŁ NIEURZĘDOWY.

Redaktor naczelny Ks. Adam Suchwałko. | Redaktor odpowiedzialny Roman Kreczmer.

Korespondencje w sprawach *redakcyjnych* adresować: **Ks. Adam Suchwałko,** *poczta* **Janów K|Pińska.** | W sprawach prenumeraty, ogłoszeń i innych *administracyjnych* adres: **Kurja Biskupia, Pińsk.**

Cena prenumerty A i B: rocznie 12 zł. — *Numer pojedyńczy: A i B 1 zł.*

Rękopisów, nadsyłanych do druku, redakcja z reguły nie zwraca. | CENA OGŁOSZEŃ: za całą stronę zł. 60, za pół str. zł. 35, za czwartą część str. zł. 20, za ósmą część str. zł. 10.

Treść numeru:

O misję religijną Polski na Kresach wschodnich.

Z artykułu pod powyższym tytułem zamieszczonego w listopadowym numerze „*Przeglądu Powszechnego*" za r. b. napisanego przez Ks. Jana Urbana T. J., redaktora tegoż Przeglądu, podajemy tu niektóre myśli, rzucające wiele światła na tę doniosłego znaczenia kwestję religijną na naszych Kresach.

Po przypomnieniu, że zmartwychwstałej Polsce przypadło około trzech miljonów ludności prawosławnej, która szczególniej w województwach wołyńskiem i poleskiem stanowi przygniatającą większość, autor zaznacza, że w pierwszych latach naszej niepodległości „chaotyczność stosunków na wschodnich kresach, zaabsorbowanie umysłów sprawami polityki bieżącej, utrwalenie materjalnego zrębu państwowości, brak przygotowanych sił do jakiejkolwiek akcji religijnej nazewnątrz" — były powodem, że o akcji misyjnej tam mniej poważnie myślano.

Teraz jednak, kiedy stosunki więcej się ustaliły, „przed katolicyzmem w Polsce problem akcji misyjnej wśród prawosławnych, staje dopiero obecnie w całej swej powadze, ujawniając zarazem całą trudność przedsięwzięcia."

Tu autor przypomina, że „dla katolików najbardziej miarodajnemi pod tym względem muszą być wskazania Stolicy Apostolskiej. Są one powszechnie znane. Począwszy od smutnego odpadnięcia greckiego Wschodu od jedności katolickiej, papieże nigdy nie ustawali w nawoływaniu go do powrotu do tej jedności i nie szczędzili żadnych wysiłków, by tego celu dopiąć. Przyczem było stałą zasadą Rzymu, że się wschodnich dysydentów wzywa tylko do jedności wiary i do uznania papieża za widomą Głowę Kościoła z pozostawieniem im w całości tych odrębnych obrządków zewnętrznych i osobliwości w karności kościelnej, które są właściwie wschodnim kościołem, pochodzą z głębokiej starożytności i doskonale godzą się z wszystkiem, co w wierze katolickiej jest istotnem. Wiadomo jak ta sprawa pozyskania dla Kościoła odłączonego Wschodu z zachowa-

niem dlań obrządku rodzimego leżała na sercu kilku ostatnim następcom św. Piotra do obecnego Ojca św. włącznie. Utworzenie odrębnej Kongregacji dla Kościoła Wschodniego, potem — osobnej przy niej Komisji dla Rosji, założenie Instytutu Wschodniego, wreszcie Rosyjskiego Kolegjum w Rzymie mówią same za siebie". Dalej opisuje genezę obrządku Katolicko-słowiańskiego na naszych Kresach wschodnich, daje charakterystykę tego obrządku, różniącego się od dawnej „Unji", podaje organizację duszpasterstwa i opisuje początkowe obrządku dzieje.

„Na Podlasiu, gdzie po wypadkach 1875 r. zdawało się zanikła wszelka myśl wskrzeszenia pogrzebionej Unji, bo masy ludności broniące się przed narzucanem im prawosławiem przeszły na obrządek łaciński, ujawniły się pewne choć nieliczne grupy wśród prawosławnych, które zapragnęły powrotu do wiary ojców, ale z zachowaniem rodzimego wschodniego obrządku. Słowem zapragnęły wskrzeszenia unji. Fakt ten stwierdził niejednokrotnie Ks. Biskup podlaski. Można się na te domagania zapatrywać tak lub inaczej, trzeba jednak stwierdzić — mniejsza o to, czy to stwierdzenie przyjmie kto za uznanie czy przyganę — że ze strony polskiego duchowieństwa nie było w tym kierunku ani żadnej agitacji, ani wielkiego zapału. Kiedy jednak prośby o unję, czy jak to zaczęto nazywać — o katolicyzm słowiańskiego obrządku, doszły do władz kościelnych, czy wolno było ich nie wysłuchać? Byłoby to nietylko niezgodne z pragnieniami ludu, ale i Stolicy Apostolskiej; nadto byłoby to wprost niezrozumiałem i nielogicznem, by w czasach, kiedy się nie przeciwdziała zakładaniu egzotycznych sekt i schizm narodowych, miało się postawić *veto* domaganiom się chociażby niewielkiej grupy ludzi, pragnących wyznawać wiarę katolicką w tej postaci, w jakiej ją wyznawali przed pół wiekiem ich ojcowie.

Spełniając prośby paru grup byłych unitów, Ks. Biskup Przeździecki porozumiał się w jesieni 1923 r. ze Stolicą Apostolską i otrzymał upoważnienie do erygowania pod swoją jurysdykcją parafij z obrządkiem wschodnim, i rzeczywiście kilka takich parafij powstało na Podlasiu już w ciągu roku 1924. Kiedy podobne możliwości ujawniły się także w innych wschodnich diecezjach, analogiczne uprawnienia uzyskali w Rzymie Ks. Biskupi wileński, piński i łucki, pod których duchowną opieką i władzą poczęły także powstawać ośrodki katolicko-słowiańskie. Takich „parafij" w obecnej chwili we wszystkich czterech wymienionych diecezjach istnieje około 30-u, mniej lub więcej zorganizowanych, przeważnie jednak nielicznych i walczących z trudnościami zarówno materjalnej, jak i duchowej natury.

Od dawnej, skasowanej na tych terenach unji, jako też od Cerkwi unickiej w wschodniej Małopolsce odróżniają się te grupy tem, że cały układ i sposób odprawiania nabożeństwa pozostaje w nich ten sam, jaki istnieje w Cerkwi prawosławnej z dodaniem tylko modlitwy za papieża i katolickiego biskupa, podczas gdy unja dawna, jako też galicyjska wprowadziła z biegiem czasu pewne zmiany liturgiczne, mianowicie w dodatkowych nabożeństwach i administrowaniu sakramentów, zbliżające ją bardziej do Kościoła łacińskiego. Druga różnica polega na tem, że nowe ośrodki katolicko-słowiańskie na Kresach nie posiadają własnej jak w Galicji, hierarchji biskupiej, lecz pozostają pod jurysdykcją biskupów łacińskich. Te dwie różnice wytworzyły pewną sytuację, która może się komuś wydać paradoksalną, mianowicie, że obrządek wschodni zachowuje większą czystość i stoi dalej od wpływów łacińskich pod kierownictwem właśnie łacińskich biskupów, niżeli w odrębnej organizacji unickiej w Małopolsce. Odpowiada to zresztą wskazówkom Stolicy Apostolskiej, polecającej unikać w zewnętrznym kulcie i zwyczajach nowo powstających ośrodków unickich wszystkiego, coby mogło odstręczać od nich prawosławnych, nasuwają im podejrzenia, jakoby zjednoczenie z Kościołem rzymskim dążyło do latynizacji i wynarodowienia.

Wymienione dwie cechy nowych ośrodków katolicko-słowiańskich — zależność ich od biskupów łacińskich i większy puryzm liturgiczny — spowodowały, że w obsłudze ich pominięto prawie zupełnie pomoc ze strony kleru ruskiego diecezyj galicyjskich, gdy zaś stworzenie odrębnego duchowieństwa nie mogło być dziełem jednej chwili, obsługa nowych parafij była powierzona nieomal wyłącznie księżom, którzy byli dotąd duchownymi prawosławnymi a prawie równocześnie z powstaniem tych neo-unickich parafij poczęli zgłaszać swoje przystąpienie do Kościoła katolickiego. Były wypadki, że oni właśnie pociągali za sobą część swoich byłych parafjan i tworzyli te nowe placówki katolickie. Obok nich stanęło do tej pracy kilku kapłanów, którzy dla niej przeszli z obrządku łacińskiego na wschodni, jako też byli wzywani

poszczególni zakonnicy z ruskich galicyjskich zgromadzeń OO. Bazyljanów i Redemptorystów, wreszcie Ks. Jezuici polscy — zaraz od początku akcji — przy hojnem poparciu hr. Pusłowskich, dali początek w Albertynie pod Słonimem nowej, wschodniej gałęzi swego zakonu, zakładając nowicjat, który coraz piękniej się rozwija. Objęli także kilka placówek duszpasterskiej pracy. Ponadto idea pracy katolickiej nad prawosławnymi natchnęła grono pań i panien polskich w Warszawie do założenia poświęconego tej pracy zgromadzenia żeńskiego, które też rzeczywiście powstało przed dwoma laty pod nazwą Sióstr Misjonarek od Najśw. Serca Jezusowego. Dom macierzysty, dzięki przychylności J. E. ks. metropolity Jałbrzykowskiego, założony został w Wilnie, gdzie się bujnie rozwija i skąd siostry rozchodzą się na inne placówki, zakładając ochrony dla dzieci i pracownie robót. Dla wykształcenia kapłanów katolicko-słowiańskiego obrządku, oprócz wzmiankowanego nowicjatu w Albertynie i domów studjów jezuickich, J. E. ks. Biskup łucki Szelążek w roku 1928 założył odrębne seminarjum w Dubnie; ponadto w tymże obrządku wychowuje się i kształci część alumnów Instytutu misyjnego w Lublinie, pozostającego pod zarządem J. E. ks. metropolity mohylowskiego Roppa.

Oto w ogólnych zarysach stan obecny owej akcji katolicko-słowiańskiej, zapoczątkowanej przed pięciu laty dopiero, a mogącej wykazać się już poważnemi rezultatami. Czy te rezultaty można zaaprobować w całości i bez zastrzeżeń? Niestety, nie. Dwa przedewszystkiem smutne objawy zaciemniły czystość obrazu. Pierwszym z nich były dezercje księży, nawróconych z prawosławia. Niektórzy z nich, czy to zawiedzeni w swoich rachubach na awans lub korzyści materjalne, czy z innych powodów — niech ich Bóg sądzi — zdradzili pokładane w nich zaufanie Kościoła i powrócili do Cerkwi prawosławnej, w której zresztą nie spotkali się z radosnem przyjęciem, otrzymując lekceważącą nazwę ptaków wędrownych — *pierielotów*. Ich ucieczka z unji, którą tylko co zachwalali, wprowadziła dezorjentację wśród wiernych, których część także odpadła od jedności kościelnej, a wśród kleru łacińskiego i społeczeństwa polskiego posiała nieufność do konwertytów-księży wogóle, nawet tych, którzy nie dali się pociągnąć złemu przykładowi i przy Kościele pozostali. Rzecz oczywista, że okazywana tym ostatnim nieufność nie ułatwia im pracy, lecz trudności skądinąd niemałe, powiększa i do pracy zniechęca.

Podobnie przykrem zjawiskiem jest niestałość w wierze niektórych przyłączonych do unji grup ludności. W rzeczywistości niektóre z nich przyjęły unję bez rozważenia doniosłości swego kroku. Odnosi się to do tych parafij, które zwróciły się do konsystorza katolickiego o unickiego księdza z powodu chwilowych zatargów z władzą duchowną prawosławną lub chwilowego nieobsadzenia przez nią jakiejś cerkwi. Traktowały ten swój krok jakby przejście z pod jednej władzy pod drugą w obrębie tegoż Kościoła, kiedy zaś ze strony prawosławnej ustąpiono ich żądaniom, lub w inny sposób zaagitowano, cofały niedawne swe oświadczenia za księdzem unickim. Tu i owdzie, gdzie także cerkiew przeszła we władanie unitów, jak w Dokudowie na Podlasiu, lub w Żabczu na Wołyniu, powstały walki o posiadanie świątyni między tymi, co unji pozostali wierni, a tymi, co ją znowu opuścili. Takie zajścia, rzecz oczywista, dyskredytowały całą akcję: prawosławnym dostarczały sposobności do oskarżania misjonarzy unji, iż wciągają do niej wiernych podstępnie, katolików usposabiały zbyt pesymistycznie co do wartości wszystkich tych nawróceń na obrządek słowiański; prasie ruskiej we wschodniej Małopolsce dawały okazję do cierpkich uwag pod adresem Polaków, którzy zabrali się do „nieswojej roboty", usuwając od niej kler unicki z Galicji, a w rezultacie z zadania włożonego na siebie wywiązać się nie umieją. Pomienione smutne fakty wywołały większą ostrożność w przyjmowaniu prawosławnych na łono Kościoła katolickiego; od pewnego czasu nie słychać o masowych nawróceniach całych wsi czy parafij; co do duchownych prawosławnych, to pod wpływem poczynionych także gdzieindziej doświadczeń, wyszła nawet w tym roku instrukcja z Komisji rzymskiej pro Russia, zastrzegająca decyzję ich przyjmowania do Kościoła Stolicy św., względnie jej delegatom w odnośnych krajach".

Następnie rozważa stosunek społeczeństwa Katolickiego raczej wyrazicielki tegoż prasy Katolickiej do tej sprawy. Cytujemy z braku miejsca niektóre ustępy:

„Pominiemy prasę, redagowaną przez przedstawicieli Kościoła, której stanowisko zasadnicze łatwo z góry odgadnąć, a które z zewnętrznych jej wynurzeń możnaby przeciętnie określić jako powściągliwie życzliwe. Życzliwe, boć przecie któż z prawdziwych sług i synów Kościoła mógłby wrogo się odnosić do akcji, mającej na celu sprowadzenie dysydentów do

jedności kościelnej? Życzliwe, wszakże powściągliwie, bez entuzjazmu, raz z powodu bliższych, bezpośrednich trosk za mało licznego duchowieństwa łacińskiego o stan własnego obrządku, powtóre z powodu wymienionych powyżej smutnych doświadczeń z nowym nabytkiem katolicko-słowiańskim, wreszcie pod wpływem pewnych rozważań, mniej płynących z ducha katolicyzmu, a podnoszonych przez prasę świecką. Jeden raz tylko pewien organ diecezjalny umieścił artykuł, podający wprost w wątpliwość celowość całej katolicko-słowiańskiej akcji. Co się tyczy duchowieństwa polsko-łacińskiego na Kresach, które ma możność ujawnienia w czynie swego stosunku do tej akcji, to obok życzliwych dla niej całą duszą kapłanów, istnieją i tacy, co trzymają się od niej na uboczu, z pewnem wyczekiwaniem i rezerwą, a księża wschodniego obrządku uskarżają się niekiedy na brak czynnego poparcia ze strony łacińskich konfratrów. Omawianemu zagadnieniu najwięcej uwagi poświęca prasa wileńska i to różnych odcieni, zarówno narodowo-demokratyczny *Dziennik*, jak demokratyczny *Kurjer*, ziemiańskie *Słowo*, wreszcie *Przegląd Wileński*, reprezentujący zapatrywania tak zw. „krajowe" uosobione w p. Ludwiku Abramowiczu. Zainteresowanie dzienników wileńskich tą sprawą jest zrozumiałe, skoro jest to najpoważniejsza prasa na terytorjum istniejącej niegdyś unji, której tradycje dotąd nie zupełnie wygasły. Otóż stosunek tej prasy do prób wskrzeszenia unji, chociaż rozmaicie motywowany, naogół jest raczej niechętny, niż życzliwy.

A zatem jeden z dzienników, hołdując ideologji nacjonalistycznej, przestrzega przed wskrzeszaniem unji, jako przed imprezą szkodliwą dla narodu polskiego. Unja, zamiast zbliżać ludność ruską czy białoruską do polskości, utrwala między niemi przedział, stając się wyznaniem narodowem owych grup niepolskich, a pozostającem pod opieką Kościoła katolickiego i jego władz najwyższych. Unja to narzędzie nacjonalizmów obcych. Przy nawracaniu prawosławnych na obrządek łaciński wciąga się ich w orbitę wpływów polskich, czego się nie osiąga, pozostawiając im obrządek wschodni. Misją kulturalną Polski na wschodzie jest krzewienie tam cywilizacji łacińskiej; sprzeniewierza się ona temu zadaniu, podtrzymując obrządek wschodni, tak ściśle związany z cywilizacją inną — bizantyńską czy turańską. W historji unja okazała się tworem nietrwałym, który też legł pod ciosami zaborcy, podczas gdy Kościół łaciński oparł się wszelkim uderzeniom, zaś upadek unji pozbawił Polskę miljonów jej synów, zasilił narodowość wrogą. Słowem, unja w przeszłości była błędem ze strony polskiej, błędem, którego nie należy więcej powtarzać".

W odpowiedzi na to autor nawiązuje do przeszłości, by przypomnieć znaczenie Unji w dziejach Polski.

„Unja brzeska stała się drzewem pochyłem, na które skaczą wszystkie dziennikarskie kozy. A zdaje mi się, że te surowe oceny aktu z r. 1596, te jego potępienia nie tyle płyną z prawdziwego naukowego przekonania, jak raczej są fabrykowane na użytek pewnych postulatów własnej ideologji. Najpierw co do przypisywania brzeskiej unji nam, Polakom, to dużo jest w tem nieścisłości. Prawdę mówiąc, nie zdobyliśmy wielkiego tytułu do chluby, jeśli to było dzieło wielkie i pożyteczne, i nie potrzebujemy się bić w piersi i żałować za grzechy, jeśli było ono historyczną pomyłką. Rzecz w tem, że nie my, ale kto inny był twórcą owej unji. Dokonywała się ona w Rzeczypospolitej polskiej, autorami jej byli przeważnie ludzie z polskiem poczuciem państwowem, jeśli chcemy — patrjoci polscy, w rodzaju biskupów Pocieja i Terleckiego, a potem św. Józafata Kuncewicza i metropolity Rutskiego i stąd można się wyrażać o Unji brzeskiej, jako o dziele poniekąd polskiem — ale bądź co bądź wymienieni, byli to ludzie, których nie możemy bez zastrzeżeń uważać za swoich, za Polaków w spółczesnem nam znaczeniu słowa, bo byli to ludzie świadomi swej odrębności plemiennej i szukający dobra przedewszystkiem swoich bliższych współplemieńców i współwyznawców. Myśl o unji zrodziła się i dojrzała w umysłach samych biskupów ruskich, przez lat kilka omawiali ją oni na swoich naradach prowadzonych w głębokiej tajemnicy; unji chcieli oni nie dlatego, by do niej byli pchani przez rząd Rzeczypospolitej, lub zachęcani przez społeczeństwo polskie, ale ponieważ w niej upatrywali jedyny środek do wydobycia Cerkwi z anarchji, chaosu i moralnego upadku, w jakim się znajdowała w drugiej połowie szesnastego wieku. Ze strony polskiej, ze strony katolików łacińskich, mamy do zanotowania parę książek Skargi, Herbesta, w których odszczepieństwo kościelne było zwalczane argumentami teologicznemi i historyczno-politycznemi, mamy przychylne poparcie zabiegów o unję ze strony biskupów łacińskich Solikowskiego ze Lwowa i Maciejowskiego z Łucka, mamy wreszcie opiekę ze

strony Zygmunta III i kanclerza Zamoyskiego, lecz tego wszystkiego może za mało, byśmy mogli powiedzieć: „my stworzyliśmy unję brzeską". Zwłaszcza, jeśli się weźmie pod uwagę, że sejmy polskie nie miały stanowczej odwagi poprzeć zawartej unji całą powagą Rzeczypospolitej, owszem traktowały sprawy unickie niechętnie, jako kłopotliwe; że dalej Władysław IV dał takąż opiekę wskrzeszonej pokątnie hierarchji dyzunickiej, jaką jego ojciec otoczył unję; że wreszcie unja nigdy nie doczekała się zrównania w prawach z obrządkiem łacińskim, czego dowody mamy w niedopuszczeniu biskupów unickich do senatu, w gorszących sporach sufraganów łacińskich z metropolitą unickim o precedencję. Jeżeli będziemy upatrywali błąd naszych ojców w tem, że wogóle dopuścili do zawarcia unji brzeskiej przez episkopat ruski — bo zaprawdę odpowiedzialność chyba za to tylko spada na nich — to trzeba przyznać, że potem dużo oni uczynili, by okazać, że tego „błędu" żałują.

Zresztą jeżeli unja była „błędem", czy można go było uniknąć i czy Polsce wolno było to zrobić? Przypuśćmy, że Skargowie, piszący książki „O jedności Kościoła Bożego", byli to „fanatycy", pozbawieni zmysłu państwowego; przypuśćmy, że „fanatykiem" był Zygmunt III, ale co powiedzieć o kanclerzu Zamoyskim, owym trzeźwym i najwybitniejszym mężu stanu szesnastego stulecia, a przecież unja i w nim znalazła gorącego opiekuna i orędownika! Chyba widział w niej zdarzenie politycznie doniosłe dla Polski."

Wreszcie autor artykułu stawia horoskopy na przyszłość.

„Czy unja kościelna na naszych wschodnich kresach ma widoki rozwoju? Odpowiadam, że zależeć to będzie od wielu czynników nadprzyrodzonych i naturalnych. Pod czynnikami nadprzyrodzonemi rozumiem wolę i łaskę Bożą, i tych, jako katolik, jestem pewien. Jeżeli Chrystus jedność swoich wyznawców uczynił przedmiotem swojej arcykapłańskiej modlitwy do Ojca niebieskiego, to niewątpliwie Jego wolą, jakoby w testamencie przekazaną, jest praca nad przywróceniem owej jedności wszędzie, gdzie ona została rozdarta. Tak rozumie swe posłannictwo Kościół powszechny, stróż i spadkobierca Chrystusowego ducha, i dlatego nie przestaje nawoływać odpadłych od jedności katolickiej dysydentów, by do niej powrócili. Pracując nad sprowadzeniem odłączonego Wschodu do Stolicy Piotrowej, Kościół nie narzuca unifikacji obrządkowej, bo i bez niej istotna jedność Kościoła i wiary jest możliwa. Pozostawia powracającym ich liturgję i uprawnione zwyczaje. Słowem żądą od nich tej formy katolicyzmu, czyli należenia do powszechnej jedności, jaką u nas zwykliśmy nazywać „unją". Skoro „tak Bóg chce" i chce Kościół, to ufajmy, że takiemu dziełu Bóg będzie błogosławił, łask swych nie skąpiąc, byle tego dzieła ludzie nie psuli, lecz je jedni życzliwie poparli, drudzy dłań pracy i ofiar nie poskąpili.

Zatem rozchodzi się o stworzenie dlań warunków naturalnych. Opatrzność przywróciła nam wolność polityczną i tem zachęciła do podjęcia owego posłannictwa, którego w swoim czasie dostatecznie Polska nie spełniła, chociaż spełniać zaczęła. Na pierwszy plan chodzi o wytworzenie dla naszej misji religijnej i kulturalnej na wschodzie życzliwej atmosfery. Należy porzucić zgóry robione podejrzenia, nie narzucać Kościołowi obcych mu zadań. Należy patrzeć na tę sprawę śmiałem okiem nadprzyrodzonej wiary i dać pierwszeństwo interesom Bożym przed małostkowem pojmowaniem interesów doczesnych. Utyskujemy na brak programów w naszem życiu politycznem, na brak przewodniej myśli, śmiałego czynu. Zwłaszcza wszyscy powtarzamy, że na Kresach wschodnich żyjemy z dnia na dzień, na nic stanowczego nie umiejąc się zdecydować. Czy nie byłoby taką godną Polski przewodnią ideą, taką śmiałą myślą — wytknięcie sobie za zadanie pozyskania prawosławia dla jedności kościelnej? I niktby — broń Boże — nie żądał od rządu Rzeczypospolitej prześladowania prawosławnych, pozbawiania ich praw obywatelskich lub mienia. Nie drogą presji państwowej dążylibyśmy do celu, lecz wypełniając nakaz Chrystusowy: „idźcie, nauczajcie wszystkie narody". Chodzi o to, aby tym nakazem przejęło się jeszcze głębiej, niż dotąd, nasze duchowieństwo, społeczeństwo zaś katolickie aby poparło kapłanów i misjonarzy swą solidarnością myślenia, a rząd — zaufaniem do akcji kościelnej i nie przeszkadzaniem jej przynajmniej.

Metody akcji misyjnej na naszym wschodzie, po dotychczasowych doświadczeniach, będą się niechybnie doskonaliły. Dopomoże do tego nawet krytyka, byleby życzliwa, której akcja katolicka chętnie powinna wysłuchiwać. Gdy ktoś doradza pracować nad przybliżeniem gremialnego pojednania naszego prawosławia z Kościołem, to oczywiście przypomina coś, co jest i naszem najgorętszem pragnieniem. Praca

w tym kierunku winna być szczególnie u nas podjęta w postaci poważnych *sine ira et studio* badań nad różnicami dzielącemi prawosławie od nas i nad przeszłością Kościoła, jak również w postaci popularnej literatury, rozpraszającej uprzedzenia do Kościoła katolickiego, wiekami nagromadzone. Czy są jakie inne sposoby oddziaływania katolickiego na prawosławie, narazie nie widzę. Przyszłość może je wyłoni i wskaże.

Oczyszczając grunt pod upragnione połączenie masowe, nie może jednak Kościół zaniechać jednostkowych nawróceń ani tworzenia grup nawróconych. Nie może, bo gdy głosi prawdę katolicką, nie wolno mu jednocześnie odtrącać od siebie tych, co tę prawdę uznają i na gremialny powrót do niej swych braci czekać nie zechcą. Wynika to z natury przekonań religijnych wogóle i dlatego jest krzyczącą niekonsekwencją czynić z tego zarzut specjalnie katolicyzmowi. Organizowanie zaś unickich parafij staje się konsekwentną koniecznością nawróceń jednostkowych, a przytem daje prawosławnym żywy dowód, że Kościół katolicki w istocie pragnie i umie uszanować odrębności rytualne wschodnie i nawołując dysydentów do jedności, nie zmierza do ich latynizacji ani wynarodowienia.

Poparcie życzliwe poczynań Kościoła względem naszych prawosławnych współobywateli staje się jednym z ważniejszych obowiązków katolickiego społeczeństwa i opinji publicznej. Warto, aby o tem więcej myślano, mówiono i pisano. Prawda, że tyle innych wielkich zagadnień czeka w Polsce na rozwiązanie, ale może dobrze będzie pamiętać na słowa: *Szukajcie naprzód Królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a reszta będzie wam przydana*".

PASTORALIA.

Do artykułu „Nasze odpusty".

(Uwagi Redakcji).

W N-rach 2-7 i 8-9 „Przeglądu Diecezjalnego" został umieszczony artykuł p. t. „*Nasze odpusty*". Wydrukowanie go jest owocem niedopatrzenia. Redakcja zbyt pobieżnie go przejrzała, za co czuje się w obowiązku przeprosić konfratrów.

Szkodą mogącą wyniknąć z artykułu, jest możliwe w umysłach niektórych czytelników uogólniania zarzutów wbrew intencji autora. Ten ostatni, pochodzący sam ze środowiska, które opisuje, nie chciał twierdzić, żeby nadużycia, które opisuje, dawały się obserwować w wielu miejscach, albo choćby w niewielu, lecz wszystkie razem. Różne niedomagania zostały zebrane w jeden obraz dla uwydatnienia ich niestosowności.

Oczywiście na to każdy się z nas pisze, że poruszona w artykule sprawa jest nader ważna i że powinniśmy wszyscy się starać, aby nawet oddzielne niewłaściwości nie psuły nam służby bożej i pracy nad duszami naszych owieczek.

Głos z diecezji.

Nadesłany przez jednego z Konfratrów do Kurji list zamieszczamy na jego życzenie w „Przeglądzie" z tem przekonaniem, że to wywoła pożądaną śród Konfratrów dyskusję.

Przypuszczamy, że w następstwie tej wymiany myśli dałoby się wiele spraw trudnych i zaniedbywanych wyświetlić, i możliwie wynaleźć remedia na bolączki życia naszych plebanów.

Łamy „Przeglądu Diecezjalnego" są otwarte na rzeczową dyskusję w tej sprawie.

Red.

Obecne powojenne czasy wytworzyły taką sytuację, że my proboszczowie na wsi jesteśmy nieraz istnymi męczennikami. Ileż jest parafij, gdzie są setki potrzeb dla decorum kościoła, jak również w budynkach plebanjalnych. Piękne i pożyteczne są uchwały odbytego synodu, życzyć tylko, by w czyn zostały wprowadzone, ale są bolączki z życia proboszcza, na które się nie zwraca uwagi. Jeśli proboszcz się zdobył na jakiś czyn większy, a więc maluje kościół, stawia organy, buduje plebanję, budynki, toć on jest istnym męczennikiem, ile energji w nim

się wyczerpuje, ile chwil gorzkich przeżywa, widać jak to na jego zdrowiu mocno się odbija, w końcu rozgoryczony zaczyna piorunować na parafjan, mówi, że wy bolszewicy, żeby was jasny piorun z nieba przybijał, a czasem rozdrażniony, wyrzuci parafjanina za drzwi, lub namacalnie poturbuje — acz rzadko, ale się to zdarza. Dziś w wielu parafjach wytworzyła się taka sytuacja, że utrzymać w całkowitym porządku kościoły, żeby były naprawdę domami Bożymi a więc wymalowane, z dobremi organami, wszystkie utensilja kościoła w należytym porządku, a jednocześnie mieć dobrą, czystą, wygodną plebanję (bo chyba każdy proboszcz na to zasługuje), czysty, wygodny dom dla służby, odpowiednie budynki nawet z pewnym konfortem, żeby widać było kulturę jako wzór dla parafjan, któż tego potrafi z proboszczów dokonać? Weźmie się za kościół, wyczerpie swoją energję, rozkołacze nerwy, a plebanja, budynki parafjalne całemi latami w opłakanym stanie. Może się nasunąć odpowiedź, a wiec po kolei robić; owszem robi się po kolei, ale żal się Boże takiej roboty. Można powiedzieć, że proboszcz ma dochody, ma ziemię, a więc z gospodarki może kłaść koszta na budynki, na rozmaite wygody jakich sobie życzy, ale nie każdy proboszcz ma duże dochody, a wydatki ma duże. Dziś na plebanjach w całej diecezji można policzyć na palcach proboszczów, którzy posiadają większą bibljoteczkę, wciąż zasilaną nowemi rzeczami, a lwia część prawie nic nie posiada, a tyleż rzeczy potrzeba do bibljoteki. Kiedy zajrzymy do najnowszych katologów, Boże! rozpacz ogarnia ile trzeba mieć, by zasilać swoją wiedzę; z wielką goryczą prawie każdy zamyka katologi, i rzuca je do kosza. I to nie jest wybujałą mrzonka, jest to rzeczywistość smutna i przykra, to też nie dziw, że proboszcz albo się zakopie w gospodarce, albo poprzestanie na zasilaniu swego ducha marnymi powiastkami, lub bezczynnie czas spędza. Dlaczego tak jest? Bo nie ma za co kupić. Dochody parafjalne wystarczają na życie i na opłacenie służby (parafjalnej) plebanjalnej, gospodarka najczęściej zysków nie daje, a jeśli coś niecoś wykalkuluje, a chce wzorowo gospodarować, wówczas musi mieć odpowiednie narzędzia rolnicze, które wszystko pochłaniają, czasem musi załatać jakiś budynek, a jeśli coś większego buduje czy w kościele czy w budynkach — zapożycza się. Jakaż jest przyczyna tych braków? Przedewszystkiem odjęta pensja i nałożony haracz na seminarjum. Powtóre obojętność parafjan do potrzeb kościoła i rozmaitych zabudowań parafjalnych. W sprawie potrzeb parafjalnych ośmielam się powiedzieć, żeby Pasterz przyszedł z pomocą proboszczom, wydał okólnik wyjaśniający ich święty obowiązek iść z pomocą na każde wezwanie proboszcza, a wrazie ich obojętności określić kary, które proboszcz może zastować, aż do groźby zabrania proboszcza z parafji, bo dziś jeśli poroboszcz rozgoryczony powie, że z przyjemnością wyjechałby, toć to mają wesoły przedmiot do rozmowy po za murami kościoła, i mówią będzie drugi, szczęśliwej podróży. Według mego zdania na wzór Stolicy Apostolskiej przeprowadzić pewne reformy: zajrzeć głębiej w życie materjalne proboszczów, unormować stosunki gospodarcze, a więc wyznaczyć fachowca, odwiedzić na koszt proboszcza każdą parafję i zbadać wszystkie bolączki od A do Z, co mianowicie proboszcz robi w kościele, co ma do zrobienia, jakie ma trudności niepokonalne, czy parafja spieszy z pomocą, czy lekceważy. Jak proboszcz gospodaruje, jeśli nie uprawia ziemię, lub po partacku, dlaczego tak jest, dać proboszczowi możność wypowiedzieć się. Np. sąsiad proboszcz ma ładną ziemię, ale nie obrabia, leży odłogiem, a za nikłą zapłatą hrabiowskie bydło się pasie. Idę obejrzeć, człowiek opowiada, że tu kiedyś 4 pary koni pracowało, ale też było i ładnie, naprawdę trzeba być na miejscu, żeby odczuć przykre wrażenie. Postawić trzeba zasadę, że proboszczowie, którzy nie chcą gospodarować rozumnie, albo oddać w dzierżawę rozumnie, nie powinni tam siedzieć, lub poradzić, wybić z apatji, a nawet zagrozić. W takich parafjach głośno mówią, że lepiej byłoby, żeby ziemię sprzedać, postawić zniszczone budynki i mają rację. Chyba nie będzie śmiesznem, że budynki plebanjalne muszą być wygodne i wzorowo urządzone, a tymczasem budynki bez okien, chlewnie niewygodne, kurników niema, a kiedy chciałoby się u sąsiada spędzić wieczorek na miłej pogawędce, to niema gdzie koni postawić, to też żyjemy jak wilki jeden drugiego całemi miesiącami nie widzimy. Przy plebanjach z ziemią musi być mieszkanie dla fornala, żeby proboszcz nie męczył się z parobkami na swoim utrzymaniu. Fornala można znaleźć uczciwego i cały rok mieć spokój. Jest ziemia kościelna, sprzedać trochę i wszystko to urządzić, proboszcza zaś zobowiązać, żeby na pozostałej ziemi umiejętnie gospodarzył i pokrył wydatek ze sprzedaży ziemi. Naprawdę i proboszcz będzie szczęśliwszy, chętniej będzie pracował i w kościele i na roli, a mocniejsze nerwy pozwolą mu dłużej pożyć, co też coś zna-

czy. Trzeba tylko zajrzeć, poradzić i zadecydować.

Dla całości wspomnę o wielkich ilościach brudu i pajęczyny w naszych kościołach.

Odbywają się uroczystości, kwiatami ołtarze się upiększa, czasem dużo świec się pali, a kiedy się rzuci okiem na ściany, gzymsy, ba nawet na ołtarz, to się widzi, że ci biedni święci i aniołkowie opleceni pajęczyną, jak powrozami skrępowani, żałośnie jakby śledzą oczami proboszcza, żeby się nad nimi zlitował. I to jest w wielu miejscach. Zakrystjan nie dba, bo proboszcz bardzo rzadko spojrzy w górę, lub też goni natychmiast zakrystjana do roboty, nasi czcigodni Księża Dziekani nieraz nie grzeszą wielką gorliwością w swoich kościociołach. — Za takie pisanie mogę dostać kręskę czarną w księdze mego żywota, ale już taki jestem.

Ks. Prob.

Ś. † P.
Ks. Kan. Adam Lisowski.

Wszystkie rzeczy mają czas, i swym zamierzonym biegiem przemija wszystko pod słońcem... Rodzaj przemija i rodzaj nadchodzi... Co już było, to i teraz jest; co będzie, już było, i Bóg odnawia, co przeminęło". Tak powiada mędrzec pański w księdze Eklezjastesa. Życie codziennie sprawdza prawdę tych słów. Nic stałego pod słońcem! Ziemia nasza jest wielką estradą, po której przesuwają się różnorodne obrazy i postacie ludzkie. Jedni się rodzą, inni umierają. Zaledwie poznaliśmy człowieka, zaledwie zadzierżgnęliśmy węzeł przyjaźni, musimy go żegnać na drogę wieczności. Nieubłagany cios śmierci nikogo nie szczędzi. Wobec tajemnic bytu jesteśmy bezradni. Jeden za drugim opuszczają nas bliżsi i dalsi, rzucając nam na pożegnanie wymowne: „Memento mori!" A odchodzą nieraz od nas ludzie, którzyby byli jeszcze pożytecznymi tak dla Koscioła jak i społeczeństwa. Z żalem i ze smutkiem rzucamy na ich grób garść ziemi. Z uczuciem jakiegoś braku odchodzimy od ich grobu.

Z podobnemi uczuciami odchodziłem od świeżej mogiły ks. kanonika Adama Lisowskiego w d. 12 października b. r. w Kleszczelach. Tak, odszedł człowiek, który mógł jeszcze żyć i pracować dla dobra Kościoła. Bóg go powołał do siebie; snadź dojrzał duchowo.

Pochodził on z okolic Oszmiany, z gminy krewskiej. Po raz pierwszy światło dzienne ujrzał we wsi Karandy w 1883 r. Ojciec jego ubogi włoscianin, przez szereg lat był gajowym. Na tle cicho szumiących borów, zielonych i kwieciem upstrzonych łąk, tudzież różnokolorowych łanów spędził ks. Adam pierwsze lata swego życia. Nie były one lekkie. Ojciec obarczony liczną rodziną niewiele dbał o niego. Biedny chłopczyna nie jeden raz odczuwał braki w odżywianiu i ubraniu. Nie zaznał on pieszczot rodzinnych. Już jako kilkuletnie pacholę pracuje na stanowisku wiejskiego pastuszka. Musi znosić niedolę biednego wiejskiego dziecka. Toteż, jak sam mi zeznawał, nie wyniósł z pod strzechy rodzinnej żadnego jaśniejszego wspomnienia. Nie poczuwał się względem swojej rodziny do żadnej wdzięczności. Swoje wykształcenie zawdzięczał przedewszystkiem Bogu, a następnie dobrym ludziom. Tak na pastwisku, jak również podczas długich zimowych wieczorów z wielkiem zaciekawieniem lubiał słuchać ciekawe i proste opowiadania wiejskich bajarzy o dobrej i złej doli ludu wiejskiego. Te opowiadania głęboko zapadły do duszy wrażliwego z natury chłopca i obudziły w nim wielką miłość do ludu sięrmiężnego. Chciał się uczyć, aby nauczać prostaczków, pragnął ulżyć tym, którzy cierpią.

Od lat najmłodszych odznaczając się cichością, skromnością i łagodnością, podczas katechizacji zwrócił na siebie uwagę ks. Płaskowickiego. Dzięki poparciu tego zacnego kapłana ks. Adam trafił do szkoły. Tutaj poczuł się w swoim żywiole. Unikając kolegów, całą duszą oddał się nauce. Po kilku latach celująco kończy szkołę powiatową w Oszmianie. Ks. Płaskowicki w 1898 r. wysyła swego wychowanka do Petersburga. W ciągu dwóch lat mały Adaś uczęszcza na naukę do Piątego Gimnazjum Państwowego. Po skończeniu nauk świeckich w 1900 r. wstępuje do seminarjum duchownego w Petersburgu. Tu odznacza się niezwykłą pobożnością, cichem i skromnem zachowaniem się oraz nadzwyczajną pracowitością. Uczy się celująco. Nic dziwnego, że władza seminaryjna wysyła go po skończeniu trzech kursów do Akademji Duchownej, którą w 1907 r. kończy stopniem Magistra Teologji.

Nie rwie się jednak do pracy kapłańskiej; uważa, że nie jest dostatecznie przygotowany. Za pozwoleniem księdza prałata St. Denisewicza, naonczas wikarjusza kapitulnego archidiecezji mohylowskiej, wyjeżdża za granicę, aby się przyjrzeć ruchowi umysłowemu na Zachodzie. Na to poświęca dwa lata: jeden rok akademicki spędza w Insbruku, drugi w Monachjum.

Po powrocie do archidiecezji w ciągu dwóch lat pracuje na wikarjacie. W 1912 r. widzimy go na stanowisku katechety w szkołach Moskwy. Po dwóch latach awansuje na proboszcza do Horodyszcza. Tu z zapałem oddaje się pracy pasterskiej. Biskup Cieplak, administrator archidiecezji, widząc tę gorliwość, w 1916 r. przenosi go do Ihumenia na proboszcza i dziekana. Niedługo jednak pozostaje na tem stanowisku. Nie lubił pracy na większej widowni. Prosi biskupa o mniej odpowiedzialną placówkę. W 1918 r. zostaje proboszczem w Koroleszczewiczach pod Mińskiem. Tu pracuje prawie cztery lata. W ciągu kilku miesięcy 1919 r. zastępuje ks. Zarakowskiego w Kamieniu. Często zagląda do Mińska, aby wesprzeć w pracy tamecznych kapłanów. Biskup Łoziński w 1921 r. pozostawiając na zajmowanem stanowisku w Koroleszczewiczach mianuje go wikarjuszem generalnym diecezji mińskiej. Były to nader ciężkie czasy dla Kościoła pod zaborem rosyjskim. Mińsk nasamprzód był widownią wojny, a następnie krwawych prześladowań katolików. Biskupa i większość księży bolszewicy usunęli z zajmowanych stanowisk. Wierni odczuwali wielki brak kapłanów. Nadomiar złego panowały epidemje tyfusu i hiszpanki. Szpitale w Mińsku były przepełnione. W promieniu 40 klm. trzeba było obsługiwać chorych. Nieraz się zdarzało, że w ciągu jednego dnia wzywano do kilkunastu chorych w różnych kierunkach i odległościach. Praca była ponad siły. Ks. Adam, który chętnie śpieszył, gdzie go wzywano, sam zachorował na tyfus i prawie cudem powrócił do zdrowia. Będąc jeszcze rekonwalescentem, jako wikarjusz generalny wystąpił w obronie majętności kościelnej: relikwij, obrazów i naczyń liturgicznych, które bolszewicy rabowali i profanowali. Pewien kapłan, będąc wtedy czasowo w Mińsku, namawiał go, aby się nie narażał i całą odpowiedzialność wobec bolszewików, chciał wziąć na siebie. Nie zgodził się na to. „Ty jesteś gościem — mówił mu — a ja jestem tu wikarjuszem generalnym, nie mogę zgodzić się na to, abyś ty za mnie ucierpiał." I rzeczywiście nietylko całą odpowiedzialność wziął na siebie, ale stanął wobec władz bolszewickich w obronie tegoż kapłana. Skutek był przewidziany. Dnia 2 maja 1922 r. został aresztowany i nie zważając na rekonwalescencję, osadzony w ciężkiem więzieniu. Wiedział, co go czeka; wcale się nie łudził. W ciągu całego miesiąca maja szykował się do śmierci. Kiedy posłyszał wyrok, skazujący go na śmierć, nieco się uśmiechnął, zachowując zupełny spokój. A kiedy pod wpływem ogólnego oburzenia nietylko katolików, ale nawet samych bolszewików wyrok śmierci został zamieniony na ciężkie więzienie, szczerze tego żałował, powtarzając niejednokrotnie: „Nie przyjął Bóg mojej ofiary z życia, gdyż nie byłem godnym łaski męczeństwa". Około dwóch lat pozostawał w więzieniach bolszewickich: w Mińsku, Moskwie i Jarosławiu. Zwiedził wszystkie rodzaje więzień: lochy, wieże, kamery pojedyńcze i wspólne. Zmuszony był siedzieć nietylko z politycznymi, ale także z różnego rodzaju zbrodniarzami. Więcej go nieraz bolały zwyrodnienia współwięźniów, aniželi pozbawienie własnej wolności. Oddziaływał na tych ludzi dodatnio, jak umiał i mógł. Zwykle czynił to za pomocą miłosierdzia: dzieląc się swoim posiłkiem i bielizną.

Bóg pozwolił mu doczekać się tej pociechy, że wrócił „na ojczyzny łono" — do Polski, którą kochał i której zawsze sprzyjał. Mimo zdenerwowania i nadłamanego zdrowia natychmiast zabiera się do pracy pasterskiej, przyjmując posadę proboszcza w Horodyszczach pod Pińskiem w 1924 r. Po roku podczas letnich miesięcy pasterzuje w Iwieńcu, na październik zaś zjeżdża do Nowej-Myszy. Praca w tej dużej parafji była już dlań za ciężką. Za zgodą biskupa przenosi się na jeden rok do Winnej. Ostatnią placówkę od roku 1927 aż od śmierci zajmuje w Wyszkach. Tu coraz bardziej zapada na zdrowiu. Z zupełną świadomością przygotowuje się do śmierci. Kilkakrotnie mówił o niej ze mną, mówił i z bliższymi. Na rok przed zgonem robi testament, porządkuje swoje interesa materjalne i udziela dyspozycyj na wypadek śmierci. Snuje jeszcze pewne projekta na przyszłość, ale one mają raczej na względzie innych, aniżeli samego siebie. Raz po raz leczy się w Szpitalu Ujazdowskim w Warszawie, ale bezskutecznie. Na kilka dni przed śmiercią po dwakroć wzywa kapłana do siebie i przyjmuje ostatnie sakramenta św. Na kilka godzin przed zgonem prosi, aby śpiewano pieśni pobożne, odmawiano różaniec i litanję do

wszystkich świętych. Na kwadrans przed skonaniem półgłosem intonował: „Exultabunt Domino ossa humiliata“. Wkrótce potem, — a była to godzina 11 rano 9 października b. r. trzymając w ręku gromnicę, którą zawczasu prosił przygotować, — zachowując świadomość do ostatniej chwili, spokojnie zasnął w Panu. Stosownie do ostatniej woli zmarłego zwłoki zostały przewiezione do Kleszczel, gdzie spoczęły obok prochów ks. kanonika Płaskowickiego.

Ks. kanonik Lisowski był z przekonania białorusinem. On pierwszy bodaj zwrócił uwagę na budzący się ruch białoruski. Bał się, aby nie poszedł fałszywym torem. Wpływał przeto na swoich uczniów i kolegów, aby uświadamiali naród w duchu katolickim. Zachęcał, aby pisali książki religijne i je rozpowszechniali. Chociaż miał wstręt do pióra, przetłumaczył jednak na język białoruski Dzieje Apostolskie, listy św. Pawła do Rzymian, do Galatów, oba do Koryntjan, oraz księgę Objawień św. Jana. Marzył, ażeby cała Białoruś zjednoczyła się pod berłem polskiem, była katolicką i miała autonomję językową. Były to marzenia, albo raczej pragnienia, z których niechętnie się zwierzał, gdyż polityki nie cierpiał i nigdy się nią nie zajmował.

Z natury zdolny odznaczał się bystrym i krytycznym rozumem. Szybko się orjentował w sytuacji. Był wrażliwy na wszelką nędzę i niedolę. Z ubogimi i potrzebującymi dzielił się ostatnim groszem. Sam kochał się w ubóstwie: ubierał się skromnie, stołował się ubogo, meble posiadał proste i niewystarczające. Pieniędzy nie miał, bo nieraz dla wsparcia uczącej się młodzieży lub dla okazania doraźnej komuś pomocy nawet zaciągał długi. Cieszył się bardzo, kiedy ktoś z kolegów, znając jego ubóstwo, podarował mu ponoszoną sutannę, stary pas, używane buty lub coś podobnego. Chętnie się zajmował filantropją i innych do tego zachęcał. Nie znosił skąpych i samolubów. Oburzał się na leniwych.

Miał żywą wiarę. Kochał Kościół, zachwycał się jego liturgją i muzyką. W dysputach unosił się i zapalał. Z odwagą, kiedy trzeba było, bronił zasady katolickie. Charakter miał prawy. Nie umiał schlebiać: albo milczał, albo mówił gorzką prawdę. Nie powodował się ambicją. Nie ubiegał się o godności, chociaż cieszył się, kiedy spotkało go jakieś odznaczenie. Nie zazdrościł stanowisk wyższych innym. Jakkolwiek unosił się prędko, zapalał się nawet gniewem, uraz jednak w swem sercu nigdy nie chował; z łatwością się godził i szczerze przebaczał swoim winowajcom.

Miał szczególniejsze nabożeństwo do Matki Boskiej Bolesnej. Nosił się z myślą wydania i rozpowszechnienia Jej oficjów kościelnych.

Synod diecezjalny w Pińsku wywarł na nim wielkie wrażenie. Cieszył się z jego postanowień. W ostatniej chorobie często mówił o Synodzie i o wielkiem znaczeniu jego dla diecezji.

Słowem był to kapłan skromny i dobry. Szanowali go wszyscy, którzy go bliżej mieli sposobność poznać. Darzyła go też i władza kościelna swojem uznaniem. Był bowiem kanonikiem honorowym diecezji mińskiej oraz kanonikiem kapituły katedralnej pińskiej. Był prowizorem od spraw dyscyplinarnych w Wyższem Seminarjum Duchownem.

Pogrzeb jego był nadspodziewanie uroczysty. Zjechało się około 20 księży, było sporo wiernych. W kościele podczas nabożeństwa mowę żałobną wygłosił wikarjusz generalny ks. prałat Iwicki, kolega zmarłego, a nad mogiłą ks. Tatarynowicz. Po rzetelnej pracy spoczął na wiejskim cmentarzu obok swojego dobroczyńcy. Spoczywaj w pokoju u Pana, księże Adamie! Niech światłość boża zalewa twą duszę! Ciesz się w błogosławionem widzeniu widokiem Tego, Któremuś za życia służył, szerząc Jego Królestwo na ziemi! Do widzenia, zacny kolego, do widzenia w niebie!

Ks. Jan Wasilewski.

Notatki bibljograficzne.

Walerjan Charkiewicz. **Zmierzch Unji Kościelnej na Litwie i Białorusi.** (Przyczynek do dziejów kultury polskiej na północno-wschodnich ziemiach Rzeczypospolitej). Słonim, 1929. Nakładem grupy ziemian. Skład główny w księgarni św. Wojciecha w Wilnie.

Praca pod nagłówkiem powyższym, jak sam autor świadczy w przedmowie, wyłoniła się z jego monografji o Placydzie Jankowskim w treści znacznie wszelako powiększonej i ściślej ze sprawą unji złączonej.

Dziełko swoje p. Charkiewicz buduje przy pomocy dziewięciu obrazów, mianowicie: 1. Dwie twierdze. 2. Walące się mury. 3. Ognie z pod śniegu. 4. Testament Siemaszki. 5. Bohaterzy i Tryumfatorzy. 6. Jak to było w Wilejce. 7. Na ostatnim szańcu. 8. Makryna Mieczysławska. 9. Tragiczne dziesięciolecie.

Czytelnik, średnio oznajomiony z dziejami unji, rzeczy nieznanych nie zobaczy, bo jeszcze nie wszystkie źródła odszukane, ani też należycie opracowane. Natomiast przy czytaniu odczuwamy, że mamy do czynienia z sumiennym i poważnym talentem dziejopisarskim, chociaż w drugiej połowie książki opowiadania historyka podlegają falowaniu polityczno-poetycznym autora, tworząc z jego umiłowań barwę swoistą, o której można się spierać i na porównania porównaniami odpowiadać.

Nie szkodzi to i nie zmniejsza wartości dziełka, bo nie jest szkodliwem to, co lotu nie zniża, i nie jest bez wartości to, co złotem serdecznem zdobi gniazdo ojczyste.

Praca p. Charkiewicza należy do tego rodzaju wydawnictw, o których z całą słusznością można powiedzieć z Orzeszkową — jest to książka — skrzydło.

* * *

Do książki dodane są cztery wizerunki działaczy-zdrajców sprawy świętej. Między nimi widzimy podobiznę Placyda Jankowskiego. Przypominam opowiadanie ś. p. p. Józefa Ordy z Derewianczyc pod Słonimem, który znał Johna of Dycalpa osobiście. Placyd Jankowski przyjaźnił się i był w stosunkach listownych ze ś. p. p. Oskierko. W jednym ze swoich listów uskarża się p. Oskierko, że ma wiele kłopotów i spraw z bankiem. Na to odpowiada Jankowski: żałuję bardzo żeś skłopotany. Szczególniej radzę nigdy nie zapominać, iż droga do banku zowie się: banque — route...

* * *

O dziwnym zaniku sumienia u niektórych odstępców świadczyć może szczegół o A. Zubce. Ten już jako arcybiskup prawosławny, namawiał pewnego razu nauczyciela do przyjęcia schizmy. Zagadnięty pyta:

— A jakież to wrażenie wywołuje zmiana wiary?

— A wiesz odpowiada Zubko, że to przypomina kąpiel chłodną: wskoczysz — uczujesz na razie zimno, ale wnet robi się ciepło i przyjemnie.

X. Michał Rutkowski.

M. Pachucki. **Papież Pius XI. Żywot i rządy.** Z 11 ilustr. rotograwurowemi. Str. 123. Zł. 7.50. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań — Warszawa — Wilno — Lublin. Rok 1929.

W końcu roku bieżącego obchodzi Ojciec św. Pius XI. pięćdziesięciolecie kapłaństwa. Pośród uroczystości związanych z tym jubileuszem, wśród hołdów składanych Ojcu św. z najodleglejszych krain kuli ziemskiej, nie brak akademij urządzanych w Polsce ani pielgrzymów polskich, chylących się do stóp sędziwego wodza chrześcijaństwa w czci głębokiej. Wyrazem należnego hołdu są również artykuły oraz książki, obrazujące jego drogę życiową. Piśmiennictwo polskie, ubogie w rzeczy dotyczące pontyfikatu współczesnego papieża, wzbogaciło się świeżo wydaną pracą, dającą zarys jego żywota i kreślącą bieg jego rządów aż po układ laterański włącznie — w poważnej formie, stylem zwięzłym, piórem nie wolnem wszakże od wzruszeń i podniosłości.

Żywot uczonego, dyplomaty i papieża — to niejako trójca stopni, po których wstępował ks. Achiles Ratti — Pius XI, a na każdym kolejno zatrzymać się musi uwaga pisarza i czytelnika. Żywot ten jest bogaty w wyniki pracy, gdyż indywidualność omawianej osoby odznacza się mocą ponad średnią miarę, a zdrowie zachartowane w wycieczkach górskich daje możność jej sprawować rządy faktycznie i bezpośrednio. Cechuje je równowaga w działaniu, umiejętność w pozyskiwaniu zdobyczy dla Kościoła, rozmach w krzewieniu ognisk wiary na lądach dalekich! A przytem myśl potentata państwa duchowego krąży nieodstępnie około drogiej każdemu szlachetnemu sercu idei — zapewnienia światu powszechnego pokoju i umocnienia podwalin Królestwa Chrystusowego.

Z tego względu zarówno dla polityka jak dla wiernego, dla kapłana jak i dla świeckiego czytelnika, lubiącego ogarniać szerszy widnokrąg współczesnego życia, książka ta będzie interesująca i pożyteczna. Całość zewnętrznie przedstawia się ponętnie. Książka wydana jest na papierze zbytkowym, ozdobiona kilkunastu rotograwurami, złoty herb na okładce przypomina symbolicznie złote gody Najwyższego Jubilata.

Mikołaj Skiba. **„Wykłady o alkoholiźmie“.** Z 48 rycinami w tekście. — Lwów 1929, nakładem lwowskiego oddziału „Związku Księży Abstynentów“. In 8-vo, str. 140 + 2 nlb. Cena 2 zł. 50 gr.

Do rzędu książek uświadamiających w walce z alkoholizmem przybywa obecnie wymieniona w nagłówku praca, wydana przez lwowskie „Koło Księży Abstynentów“. W 17 wykładach wyczerpał autor swój przedmiot, rozprawiając o samym alkoholu, jego właściwościach, pochodzeniu, działaniu, wpływie na choroby, długość życia, przestępczość, moralność i t. d., wkońcu o akcji abstynenckiej u nas i gdzie indziej. Wywody swoje uzupełnia materjałem statystycznym i ilustruje na licznych wykresach, diagramach, tablicach statystycznych. Pouczające są np. zestawienia, tyczące wyników prohibicji w Ameryce (str. 120 nn.). Wogóle starał się autor o obfity materjał porównawczy, wszędzie osiągnął pożądaną jasność wykładu, przejrzystość, a przytem dokładność, bez przeładowania zbędną frazeologją. Nastrojowa przedmowa zawiera refleksje na temat nieznanego obrazu Józefa Męciny-Krzesza, zatytułowanego „Przekleństwo“ (należy dodać: żony pijaka na męża nałogowca).

C. L.

Odezwa z Jerozolimy.

Ojciec Aurelius Borkowski (O. F. M. St. Saviour's. Palestine — Jerusalem) raczył mi nadesłać swoje powinszowanie z racji otrzymania świetnego Krzyża „Lateraneńskiego". Przy tej sposobności prosił mnie gorąco o zainteresowanie szersze koła ludzi dobrej woli sprawą ofiar na polski ołtarz św. Antoniego w Nazarecie.

Ofiary zebrane można przesyłać do redakcji „Kurjera Warszawskiego" Krakowskie Przedmieście № 40 pod rubrykę: „Na polski ołtarz św. Antoniego w Nazarecie", a Ojca Borkowskiego zawiadomić dla ilu ofiarodawców ma przysłać obrazki poświęcone na Grobie Chrystusa Pana.

Czyniąc zadość temu żądaniu, sam zapoczątkowałem zbiórkę, a do Przewielebnych i Wielebnych Kapłanów zwracam się z pokorną prośbą o naśladownictwo.

W końcu dodaję jeszcze, że Ojciec Borkowski proponuje księżom biednym, aby zamiast ofiary pieniężnej na Ołtarz, odprawili jedną lub kilka Mszy św. w intencji Ojca Borkowskiego, który w ich imieniu sam złoży już ofiary. Ale w takim razie powinni uprzednio porozumieć się listownie z Ojcem Borkowskim dla odpowiedniej zamiany intencji Mszalnych.

Roman Kreczmer.

OGŁOSZENIA.

Drukarnia Diecezjalna w Pińsku, ul. Kościuszki 46.